



Barbara Stanisławczyk: Mieszkając u Sonji Ziemann, Hłasko faktycznie pisał dużo. Miał poczucie bezpieczeństwa, ale było to bezpieczeństwo wyłącznie materialne

FOT. PAP/DPA

STANISŁAWCZYK: HŁASKO CHCIAŁ ZNALEZĆ KOBIECĘ, KTÓREJ CODZIENNIE MÓGŁBY KUPOWAĆ SIEDEM CZERWONYCH RÓŻ

– Jego „Pierwszy krok w chmurach” wciąż będzie książką fascynującą dla każdego młodego człowieka, który wchodzi w dorosłe życie, poszukując swojego „pierwszego kroku w chmurach”. Wciąż jest to fascynacja niebem, którego się chce sięgnąć – mówi dziennikarka Barbara Stanisławczyk, autorka książki „Miłosne gry Marka Hłaski”

Anita Czupryn

W książce „Miłosne gry Marka Hłaski” pokazuje pani, jak życie pisarza związane jest z literaturą i jak literatura przenika jego życie. A także, że miłość ma wiele twarzy. Który z jego licznych związków z kobietami był tym, który najbardziej wpłynął na jego twórczość?

Życie i twórczość Marka Hłaski są ze sobą mocno splecione. Jego twórczość odzwierciedla jego życie i tło obyczajowo-histeryczne, a także polityczne Polski lat 50. Marek jest symbolem odwilży, ale do tego może dojdziemy później. Jeśli chodzi o jego największą miłość, to on sam wskazywał na Hanię Golde. To była miłość, którą przez całe życie wspominał, której później przez resztę życia szukał, ale już nigdy nie mógł znaleźć. Czy tak rzeczywiście było – trudno powiedzieć. Był to człowiek bardzo zagubiony. Chyba jemu samemu trudno byłoby odpowiedzieć na pytanie, gdzie jest jego przystań. Zagubienie Marka Hłaski wynikało nie tylko, albo też nie tyle z jego usposobienia, temperamentu czy charakteru. Nie tylko z jego talentu i wrażliwości z tym związanej. Niektórzy nazywają go geniuszem, na pewno miał wielki, samorodny talent, który kazał mu szukać prawdy o życiu, o człowieku, w zaułkach, w zakamarkach duszy. Ale na to wszystko, może przede wszystkim, nakładało się coś, co zdeterminowało jego życie i jego twórczość również w sposób negatywny. To uwikłanie, w które popadł jako młody chłopak...

...ponieważ kobiety go uwielbiały, ale też kochały go mężczyźni?

Nazwałabym ten stan uwikłaniem towarzysko-literackim. Marek trafił w środowisko

wielkich twórców, a przynajmniej uznanych za wielkich, a było to środowisko homoseksualne. W PRL homoseksualizm był tematem tabu. O tym się nie mówiło, społeczeństwo jakby nie wiedziało, że homoseksualiści istnieli i istnieją. Natomiast dla władz komunistycznych, a w szczególności dla służb specjalnych to był, mówiąc brutalnie, materiał, którym oni się posługiwali; wykorzystywali homoseksualizm, podobnie jak inne słabości ludzkie, jako narzędzie panowania nad społeczeństwem. Z jednej strony homoseksualnym pisarzom dano przywileje i pewną władzę nad środowiskiem literackim, niektórych uczyniono znanymi, czy przez chwilę wielkimi, choć na to nie zasługiwali. Niektórym, jak choćby Iwaszkiewiczowi, nadano nimb autorytetu, a z drugiej strony uczyniono ich niewolnikami systemu. Ich skłonność utrzymywano w tajemnicy pod warunkiem jednakże bezwzględnego posłuszeństwa komunistycznym władzom. W ten tak trudny i brutalny układ trafił Marek – niezwykle przystojny, żeby nie powiedzieć piękny, z dozą pewnej delikatności, czego się wstydził i co starał się przykryć brutalnością, grymasem twarzy, ostantacyjną ironią. Jego ideałami byli James Dean i Humphrey Bogart albo bohaterowie Hemingwaya; to byli prawdziwi mężczyźni i on też takim chciał być. Był więc uwikłany w gry własne, z samym sobą, ale też i w te, w które został wciągnięty.

Wracając do jego twórczości – czy to będąc w małżeństwie z niemiecką aktorką Sonją Ziemann napisał najwięcej?

Generalnie Marek pisał dużo. Umarł młodo, miał zaledwie 35 lat, zaczął bardzo wcześnie. Mówiono o nim pijak, ale w rzeczywistości była to wizerunkowa przykrywa dla jego ciężkiej pracy twórczej. Poza towarzyskim piciem, on bardzo ciężko pracował. Najwięcej i najlepiej pisał w Polsce.

A kiedy pracował - to nie pił.

To prawda, pisał na trzeźwo. Mieszkając u Sonji, faktycznie pisał dużo. Miał poczucie bezpieczeństwa, ale było to bezpieczeństwo wyłącznie materialne.

I - jak pani pisze w książce - w luksusach czuł się źle. Podobają mi się te sceny w książce, że kiedy Sonja wyposażyła mu wspinały gabinet, to uciekł do piwnicy. Kiedy piwnicę ozdobiła skórą tygrysa, które przywiozła z Afryki - to w ogóle uciekł z domu. Wyznał zasadę, że „artysta głodny jest bardziej płodny”, jak śpiewa Kazik Staszewski?

Trochę tak było. Ale wydaje mi się, że on w Niemczech nigdy nie czuł się u siebie, że nie czuł się dobrze w małżeństwie z Sonją. Nie czuł się tam dobrze, bo to był dom mieszczański - mimo że Sonja była artystką, miała naturę mieszczańską, czego nawet nie ukrywała. Niemcy duchowo były Markowi obce, obce były całej rodzinie Hłasków, mówił mi o tym Andrzej Czyżewski, brat cioteczny Marka. Wojenna trauma była dla nich niezagojoną raną.

Bardzo poruszył mnie w książce ten fragment, w którym opisała pani, jak matka Marka Hłaski w Powstaniu Warszawskim nakryła go swoim ciałem, żeby go uratować przed bombardowaniem, mówiąc synowi: „Zobacz. Tak wygląda niemiecka kultura”.

Marek urodził się przed wojną, w 1934. W czasie wojny był więc chłopcem, ale już bardzo świadomym; intelektualnie bardzo dojrzałym. Wychowywał się bez ojca, był bardzo wrażliwy. Dlatego te słowa matki zostały w nim na zawsze. Ale zasadniczą sprawą, która sprawiała, że najlepsze utwory Marka Hłaski powstały w Polsce, to była jednak atmosfera tej Polski powojennej. Nie chcę przez to powiedzieć, że Marek był filokomunistą, że ten system się jemu podobał. Przeciwnie - był, jak wspominałam, symbolem października, odwilży i tej artystycznej cyganerii, która rozkwitła w latach 1953-1958, do której Marek przynależał. Wtedy, w pewnych kręgach środowisk twórczych panowała atmosfera, powiedziałabym, artystycznego nihilizmu. Szukali prawdziwego życia. Hłaski i Tyrmand przełamali schemat pisanego socrealistycznego; ich język miał styl reporterski. W ich powie-

ściach były krew, pot i łzy. I uczucia, które szukały spełnienia i miejsca, w którym mogłyby się to zdarzyć.

Pisze pani w książce, że Marek Hłasko chciał przede wszystkim doświadczać. Nawet jak został wtrącony do aresztu z powodu jakiejś burdy, to był zły, że trafił do jednoosobowej celi. Wolałby siedzieć ze zbrodniarzami, z kryminalistami, słuchać ich opowieści.

To był z jego strony rodzaj marzycielstwa - być z prawdziwymi łotrami, dotknąć życia, pokaleczyć się. Nie interesowało go opisywanie upudrowanego świata. Chciał rozpoznać czarne charaktery, po swojemu odkrywać tę dostojewszczyzną; takiej atmosfery poszukiwał. Z jednej strony krytycznym okiem patrzył na system, na to, co się dzieje w Polsce od strony politycznej i społecznej, ale z drugiej strony ta atmosfera bardzo mu odpowiadała. Przecież przez kilka lat żył wśród ciężko pracujących robotników, przy wyrębie lasu czy jako kierowca. Szybko jednak, mając osiemnaście czy dziewiętnaście lat, został już pisarzem, szybko wyniesionym na literackie salony i piedestał. Zbyt wcześnie, za szybko. To była wielka krzywda, którą mu wyrządzili kochający go literaci tamtych czasów: zbyt wcześnie wynieśli go na szczyty. Nie zdążył się pokaleczyć, przeżyć upadków, udowodnić sobie, że na szczyty zasłużył i sam może je osiągnąć, co zwykle przeżywają pisarze, którzy nie mają takiego, jak on, wsparcia, a co ich hartuje.

Pozwoli pani, że wrócę do początku naszej rozmowy i do tematu miłości, któremu w swojej książce poświęca pani dużo miejsca. Co sprawiło, że Marka Hłaskę fascynowały kobiety, które były od niego znacznie starsze, które były mężatkami, z życiowym doświadczeniem, nierzadko te, które miały dzieci. Czy to był jego sposób na odnalezienie tego, czego mu brakowało?

Myszę, że rolę tu grają dwa czynniki. Marek w głębi duszy cały czas czuł się chłopcem, niedojrzałym chłopcem. Dlatego zgrywał mężczyznę - twardziela, stąd to pijaństwo na pokaz, te rozróby, ta hardość. Czuł się podwójnie osierocony - raz, kiedy porzucił go ojciec, a zaraz potem umarł; po raz drugi, kiedy matka związała się z Kazimierzem Gryckiewiczem. Marek poczuł się wtedy odrzucony również przez matkę. To w nim pokutowało, mimo że tę matczyną miłość mógł przecież odczuć. Niemniej, to była trudna relacja, mogłybyśmy na ten temat długo rozmawiać. Odpowiadając na pani pytanie - tkwiła w nim ta dziecięca chłopczość, której nie stracił przez

całe życie i od której całe życie uciekał. Tymczasem, w istocie nie był twardzielem. Twardy, silny mężczyzna nie musi odgrywać, po prostu nim jest. To dlatego, poszukując może przez cały czas matki - tego opiekuńczego skrzydła - przez moment znalazł go w Sonji, ale też nie do końca. Wiązał się z kobietami, które były dojrzałe seksualnie i życiowo. Szukał też męskiej, prawdziwej hemingwayowskiej przyjaźni. Poszukiwał tego, czego w nim samym nie było, czego nie miał.

Czym on przyciągał do siebie kobiety? Co było tym magnetysem, który sprawiał, że do niego lgnęły?

Wszystko po trosze: był mężczyzną przystojnym, ciekawym człowiekiem. Z jednej strony uroczy, ckliwy, bardzo opiekuńczy i autentyczny, a z drugiej miał w sobie ten pozorny rys brutala, co się wielu kobietom podoba, co może sprawiać, że taki mężczyzna jest pociągający. Był też dobrym pisarzem, potrafił ciekawie mówić i przeżywać zachłannie życie. Ale był też człowiekiem, za którym trzeba było bez przerwy gonić, za jego światem, jego marzycielstwem, nieprzewidywalnością. To wszystko razem sprawiało, że miał w sobie urok. Był ujmujący w swoim zachowaniu zarówno w stosunku do mężczyzn, nie tylko do homoseksualistów, jak i kobiet. Choć bywał też nieznosny. Miał w sobie urok zarówno intelektualny, jak i zmysłowy. Był człowiekiem pełnym złożoności. Dla jednego obiektem, który się stale rozgryza, dla czego jest, jaki jest. Dla drugich był po prostu pociągający. Jednym słowem - kochano go za wszystko. Za całość.

O Hani Golde - wspomniała pani - mówił, że to jego największa miłość, ale przecież tak samo mówił innym kobietom. Sonji mówił, że zawsze będzie ją kochał, Agnieszce Osieckiej... Niemniej, co zauważa pani w książce, od zerwania z Hanią wszystkie miłości w jego książkach kończyły się źle, a on sam też zaczął źle mówić o kobietach. Klóci się to z tym zdaniem, że Marek całe życie chciał znaleźć kobietę, której codziennie mógłby kupować siedem czerwonych róż i tańczyć z nią tango.

Podświadomie szukał zwykłego szczęścia, ale nie wierzył, że jest możliwe. Nawet jeżeli przez chwilę czegoś takiego dotknął, to zaraz go to jednocześnie nudziło, odpychało, męczyło. Dlatego Hania mu odpowiadała, bo była jak on, nieuchwytna. To był typ kobiety, którą podziwiał wielu mężczyzn, nawet jej nie kochając, oddawali jej się we władzę. Tak było z Krzysztofem Kąko-

lewskim, z którym rozmawiałam, a który się z nią przyjaźnił. Hanka była nie tylko piękna, była inteligentna. Miała w sobie nieprzparty urok, tajemnicę. Kiedy gdzieś wchodziła, to od razu było widać, że to wchodzi ktoś, kto przyćmiewa, przytłacza swoją wyjątkowością; to, jak rzucała rękawiczki gestem Rity Hayworth, to jak mówiła, jak patrzyła - to wszystko było niezwykle. Hanka i Marek byli jak dwa jednolimienne bieguny. Będąc kochanymi, uwielbianymi, sami nie potrafili kochać. Spotkało się dwoje godnych siebie rywali i jak mistrzowie, skrzyżowali szpady. Próbowali żyć razem, ale to się po prostu nie mogło udać, z ich wewnętrzzną komplikacją. Kiedy Hłasko otrzymał w 1956 roku mieszkanie z puli Cyrankiewicza, urządził je z myślą o dzieciach, bo Hanka miała dwie córki i męża, do którego zawsze wracała, może na swój sposób kochała Wiktora. Z Markiem klócili się i godzili. A niedługo później Marek wyjechał z Polski. Nigdy się już nie zobaczyli, ale też nigdy o sobie nie zapomnieli.

W książce zderza pani cytaty z utworów Hłaski z faktami z jego życia, wskazując, jak to jego życie było połączone z twórczością. W którym utworze zawarł najwięcej historii ze swoich związków?

Trudno wskazać jeden utwór. Na pewno w „Brudnych czynach” znajdziemy Sonję i cały ten trójkąt, który się wytworzył, z jej byłym partnerem i agentem literackim. Ale Marek pisał całym sobą, we wszystkich jego opowiadaniach można znaleźć kawałek jego i świata, w którym przebywał, funkcjonował. W każdym z bohaterów można się doszukać jego, jego kobiet, jego przyjaciół i to nie tylko w tych opowiadaniach, tych mówiących o miłości, ale i takich, jak „Pętla”, „List”, „Piękni dwudziestoltni”. Pisał o sobie i o tych, których znał; oczywiście to było literacko przetworzone. Młodzi ludzie wciąż się nim fascynują. Dla mnie też był ciekawy, może nawet bardziej jako bohater literacki niż jako pisarz.

To już trzecie wydanie tej książki! Co sprawia, że postać Marka Hłaski wciąż budzi zainteresowanie, fascynację czytelników, mimo że od jego śmierci w tym roku upłyne 55 lat?

Autentyzm. Hłasko to postać legenda, ale nie nadmuchana. Nie wszyscy go lubili. Na przykład Agnieszka Andrzejewska, córka Jerzego Andrzejewskiego. Miała ku temu powody, wynikające z rodzinnych komplikacji. Ciężko jej było, mając ojca, który w relacjach z mężczyznami jest dla niej konkurencją. O Hłasce mówiła: kabo-
tyn, a o jego twórczości, że jest

banalna. Kiedy jednak sięgam do Hłaski teraz, przy okazji kolejnego wydania książki, to choć jestem już w zupełnie innych obszarach, bo zajmuję się trudnymi zagadnieniami cywilizacyjnymi, stwierdzam, że Hłasko to niestarzejący się temat. Jest interesujący właśnie dlatego, że był autentyczny. Zagubiony człowiek z wielkim talentem; symbol trudnych czasów i skomplikowanych relacji międzyludzkich. Jego „Pierwszy krok w chmurach” wciąż będzie książką fascynującą dla każdego młodego człowieka, który wchodzi w dorosłe życie, poszukując swojego „pierwszego kroku w chmurach”. Wciąż jest to fascynacja niebem, którego się chce sięgnąć. A Marek jest tym literackim przewodnikiem, który przez ten pierwszy krok w chmurach przeprowadza.

„Miłosne gry Marka Hłaski” to fascynująca książka, którą czytałam z zapartym tchem i uczuciem zazdrości, że można tak żyć, jak żył Hłasko. Czy istnieją jakieś niewyjaśnione tajemnice jego życia, które prowokują do dalszych badań, do analiz jego postaci i jego twórczości?

O, z pewnością. Jest cały obszar, który czeka na opisanie; to styk świata komunistycznego i postaci Marka, kiedy już przebywał za granicą, otoczony przyjaciółmi i tak zwanymi przyjaciółmi. Trzeba zbadać archiwa IPN-u, popatrzeć na te relacje, dotrzeć do innych archiwów i ludzi, którzy jeszcze te relacje pamiętają. Pokazać tych wszystkich, którzy mu schlebiali, którzy pławili się w jego blasku, żyjąc odbitym światłem, a jednocześnie obmawiali go, a często na niego donosili. Hłasko chciał wrócić do Polski, bo tylko tu mógł w pełni żyć i tylko tu naprawdę mógł tworzyć. Czuł język, czuł ludzi, czuł tę ulicę, te miejsca, te knajpy. Ale nie chciał wracać na klęczkach, jak to dyktował mu ambasador Bida. Marek za granicą był osaczony, manipulowany. Dotykał tego w swoich książkach, ale to warto rozwinąć. Jest też cały wątek „Kultury” paryskiej - to jest fascynujący temat. Gdyby Hłasko spełnił wymagania, jakie w nim pokładała „Kultura” paryska i cała emigracja, to być może byłby drugim Miłoszem, albo nawet przed Miłoszem, może szykowany na Nobla. Byłby symbolem emigracyjnej kontestacji komunizmu. Takie nadzieje w nim pokładano. Wysłano go do Ameryki, żeby się otała, nauczył życia, żeby dojrzał, zdobył zawód, by mógł sprostać politycznym wymaganiom, bo przecież „Kultura” paryska to nie tylko świat literacki, świat dziennikarski...

Jerzy Giedroyc sam mówił o sobie, że jest politykiem...

...i Marka sadowiono jako literata-polityka! Ale nikt mu nie powiedział, jaką rolę ma odegrać. Po jednym z wywiadów, jakiego udzielił francuskim dziennikarzom, został wyklęty w kraju, zamknięto mu tu drzwi. A on był nieprzygotowany do roli, którą mu tam, za granicą, uszykowano. Hłasko był polskim patriotą, był piłsudczykiem. A kiedy wyjechał za żelazną kurtynę, oczekiwano od niego, że będzie na tę Polskę psioczył. Nie lubił komunizmu, ale Polskę kochał; tę, jaka wtedy była. Był za młody, za mało doświadczony, za mało w nim było polityka, a za dużo brawury, żeby wybrnąć z roli, którą mu narzucano, albo dokonać świadomego wyboru. Znalazł się w matni. „Kultura” paryska chciała go uczynić narzędziem swojej polityki, ale Marek był na to zbyt niezależny, zbyt niesformy i politycznie niedojrzały. Nie potrafił wejść w polityczne tryby emigracji. To go zniszczyło kompletnie. Na tym polegał jego dramat, jako człowieka - w Polsce żyć nie mógł, a na emigracji nie chciał. Ten dramat przekładał się również na jego nieudane miłości, nieudane życie. Jego niezgoda była jego siłą, ale jednocześnie elementem destrukcji, bo on nie umiał się wpasować w żadne ramy. Nie było w nim nic z konformizmu i to doprowadziło do jego ostatecznej zagłady.

CV



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Barbara Stanisławczyk
Dziennikarka, reportażystka i pisarka, doktor nauk o polityce, wykładowca akademicki, w latach 2016-2017 prezes zarządu Polskiego Radia. Autorka wielu książek, m.in. pozycji „Miłosne gry Marka Hłaski”, wydanej w lutym br. nakładem wydawnictwa Rebis.

